Nr 29. Kraków, 18 Lipca 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O gospodarności w obrębie gminy

opowiedział

Kazimierz Langie.

III. Wieś bogata.

Do wsi swojej rodzinnej powracał niedawno jeden z tych nieszczęśliwych, którzy to przed dwudziestu laty dali się uwieść słodkim słówkom niesumiennego — uwierzyli mu, że w Ameryce można bez pracy i bez pieniędzy dojść prędko do wielkiego bogactwa — i pozwolili się chytremu człowiekowi, jak stado bezrozumnych baranów, poprowadzić daleko z ojczyzny swojej za morze: na niewolę, na wyzysk nieludzki, na trud niewypowiedziany i na nędzę ostatnią...

Wędrowiec nasz wracał wymizerowany, zmęczony, obdarty i chory. Zaledwie pozszywane jakieś łachmanów strzępy, okrywały nagość jego ciała. W Ameryce utracił żonę i dzieci, które z nędzy poumierały — utracił wszystek grosz, jaki zabrał ze sobą z ojczyzny — utracił zdrowie i siły w długoletniem szamotaniu się z biedą na obczyźnie — jednem słowem utracił wszystko, okrom życia, okrom wiary świętej, w jakiej się urodził i okrom miłości ziemi swojej rodzinnej, do której niezmierna na obczyznie opanowała go tęsknota.

O głodzie, bo tylko leśnemi owocami się żywiąc,

Figle wiarusa.

Od granic Mongołów, zaciężyła czarna chmura brzemienna nieszczęściem — imię jej z obrzydzeniem i ze strachem się wymawia — to cholera.

W miasteczku Końskie ten straszny gość rozsiadł się na dobre — niskie położenie okolicy, wilgotna miejscowość, zamieszkała w trzech częściach przez żydów, znanych wszędzie z niechlujstwa i nieporządku, a przytem żywiących się niezdrowemi pokarmami, dostarczała hojnie ofiar epidemii.

Doktorzy zalecali przedewszystkiem czystość w mieszkaniach i w ubiorze, zdrowe pokarmy; ale żydzi nie wierzyli w doktórów.

Sławny wówczas był rabin w Radoszycach, miasteczku o parę mil położonem od Końskich, do niego więc udali się żydzi po radę i opiekę.

Bogate podarunki zostały złożone rabinowi — przyjął je — zamyślił się — długo kiwał głową z zamrużonemi oczyma — nareszcie otworzył oczy — poprawił sobolowej czapki i zatknąwszy ręce za pas jedwabny na atłasowym chałacie, zapytał się:

— Jak dawno ta paskudna choroba tam się rządzi?

— Już od tygodnia Rabbi, co dzień po dziesięciu ludzi umiera, a gojów to ledwie po jednemu.

Rabin cmoknął językiem — znowu się zamyślił — a po chwili rzekł:

— To głupi interes z tą paskudną chorobą, ale trzeba ją wyprawić w inne miejsce.

— Nu! a jak to zrobić?

— Wracajcie do Końskich, tam trzeba wam wyszukać goja głupiego i zapłacić mu za to, żeby on stał na kirkucie i czekał tam, aż wy przyniesiecie umarłego. — Wtenczas niech on się zapyta „kto idzie“, a wy odpowiecie mu: ten a ten umarł na tę paskudną chorobę i chce być pochowany, a on niech odpowie „tu niema już miejsca“. Jak to ta paskudna choroba usłyszy, to was opuści i obróci się gdzieindziej.

Radość pomiędzy żydkami konieckimi zapanowała wielka — powracając, radzili już przez drogę kogo tu wybrać na stróża kirkuta.

Żył wówczas w Końskich Adamczyk, stary wiarus, który służył w wojsku jeszcze pod Wielkim Napoleonem i z nim przeszedł pół świata, ranny, był wzięty do niewoli, w której przebył długie lata; powrócił do rodzinnego gniazda, do Końskich, gdzie mu jego dawny generał hr. Małachowski dawał jakieś wsparcie doży-

dowlókł on się nieborak z głębi Ameryki do Nowego Jorku, miasta co już leży nad morzem. Tam wprosił się na służbę okrętową, przyrzekając za darmo najcięższe spełniać posługi, byle go tylko do Europy odwieźli. Po wylądowaniu w niemieckiem mieście portowem Hamburgu, puścił się pieszo w drogę ku wschodowi nieba; o żebranym chlebie przeszedł cały niemiecki kraj, gdzie się z nikim po ludzku rozmówić nie umiał — aż dopiero na Szląsku, z radością nieopisaną, posłyszał pierwsze dźwięki rodzinnej swojej mowy polskiej.

O śmierci bliskiej już myśląc ze znużenia, dobywał ostatnich sił: by nie ustać w drodze i nie zemrzeć gdzieś na obcej ziemi, a do swojaków koniecznie się dowlec, i kości swe położyć w kochanej rodzinnej swej wsi.

Ostatnich tchów dobywając, już zbliżał się do dobrze niegdyś znajomych sobie okolic. — „Jeszcze byle za ten lasek, jeszcze tylko na tę górkę jak wyjdę“ — myślał sobie — „to ujrzę już rodzinną moją wieś Dąbrówkę, w której co prawda wiele kiedyś biedy zaznałem — ale pomimo to kocham ją jak matkę rodzoną — bo dziś kiedym zmądrzał przez życie, widzę jasno jak na dłoni, że to nie ona winna była temu, żem ja w niej był ubogi i biedny, tylko winną temu była moja własna głupota, moja nieopatrzność, moje lenistwo i mój własny niestatek... O Boże! gdybyś mi tak dzisiaj moje młode lata powrócił, i dał mi napowrót w ręce ten ziemi ojczystej kawałek, który dawniej w Dąbrówce miałem, a przed dwudziestu laty za marne pieniądze sprzedałem — o ileż lepiej jabym dzisiaj tych darów Bożych używać potrafił, i jakże czułbym się na tej mojej ziemi szczęśliwym!“

Tak rozmyślając sobie, przeszedł dość długi las i wyszedł pomału na oną górkę ostatnią, z której to już prosto do Dąbrówki miał wejść... Lecz jakiż widok przedstawił się jego oczom zdumionym, odmienny wcale od tego, jaki się ujrzeć spodziewał:

W samym środku na pagórku kościół biały zdaleka widny. Młodemi drzewami obsadzony był do około. I widać za ciasny być musiał dla parafian, bo świeżo znać przybudowano część głównej nawy od wschodu.

Za nim i przed nim jak okiem zasięgniesz, stoją domostwa jakieś schludne, bielone, z oknami porządnemi, z kominami murowanemi — a nad wejściem do każdego domu błyszczy złocista ze świętym Floryanem tabliczka. Dom od domu dosyć daleko, — ale pomiędzy nimi przestrzeń niepusta: zielone sady jakby wiankiem otaczają biały dworek każdy — a drzewa w tych sadach, choć młode, widocznie rodzą już od lat paru smaczne owoce. Dalej ogrody warzywne na grządkach równiutkich i ślicznie oplewionych. Przy niektórych i chmiel bujny wysoko się wspina na tykach. W każdym sadzie najmniej po kilkanaście uli pszczelnych, a są i takie, gdzie do półkopy jużbyś ich naliczył. Za każdym domkiem stodoła o chróścianych wprawdzie ścianach, ale prosto stojąca na słupach mocnych i słomą grubo po-

---

wotnie — baraszkował z młodymi, opowiadając im dziwy o bitwach w jakich się znajdował — o wielkim cesarzu Napoleonie — a kiedy młodzi uśmiechali się niedowierzając, smutnie spuszczał głowę na piersi i powtarzał:

> Inne czasy, inni ludzie:
> Mów im prawdę szczerozłotą,
> To słuchają jak o cudzie.

Każdy poczęstował go kieliszkiem wódki, ten i ów zaprosił na obiad, a Adamczyk przepędzał czas, nic sobie nie robiąc ze swojej biedy — wszyscy go znali — lubili i wiedzieli, że do pracy małe ma już siły.

Przed szynkiem Lajbusia stało właśnie kilkunastu żydów, zajętych ożywioną rozmową; machali rękami, bili się w piersi, a ciągle spoglądali ku rynkowi, zapach smrodliwy czosnku roztaczając wokoło.

— Idzie! idzie! zaczęli do siebie szeptać; dzieci i żydówki zaczęły się ciekawie kupić i patrzeć na zbliżającego się Adamczyka, jakby go pierwszy raz w życiu widzieli.

Stary kirasyer prosty był jak trzcina — wąsy białe — wzrok przenikliwy a łagodny. Kiedy już właśnie szynk miał minąć, Lejbuś stojący we drzwiach z fajką na długim cybuchu, kiwnął na niego i do stancyi go zaprosił. Adamczyk ze zdziwieniem spojrzał po żydach, uśmiechnął się nieznacznie, pogładził wąsy i wszedł do szynku nic nie mówiąc.

— Nu panie Jadamczyk, tak rano idziecie na czczo, a nie wypilibyście kieliszeczek?

— Ha! zdrowiu by to nie zaszkodziło, to tylko bieda, że grosze się przy duszy nie trzymają i nie byloby czem zapłacić.

— Ny! czy to Lejbuś już taki, żeby panu Jadamczyk nie dał parę kieliszków na kredę; jak będziecie mieli to mi oddacie.

Adamczyk znowu się uśmiechnął, widział, że żydy mają w tem jakiś interes, postanowił być ostrożnym — przyjął jednakże jeden i drugi kieliszek wódki, rozsiadł się na ławie, wyjął swoją żołnierską fajeczkę — pomacał się po kieszeniach i chociaż znalazł w jednej z nich kapciuch z dreikenigiem, udał jednak, że go niema.

— No, Bóg zapłać wam Lejbusiu, ale niema tu co siedzieć bez tytoniu, trzeba iść dalej, bo coś mnie tak mdli po brzuchu, może to ta psia cholera do mnie się zbliża, ale stara to moja znajoma, ona wie, że Adamczyk jej się nie boi.

szyta. Obok stajenka i wozówka. Podwórko czysto umiecione, tylko w kącie starannie ułożona stertka gnoju na każdem. — „Czy mnie oczy nie mylą?“ woła sam do siebie podróżny, który zupełnie co innego zobaczyć się spodziewał... „Czy to miasteczko jakie? Czy to dworów pańskich kolonia cała? A wszakżeż tu niedawno wieś Dąbrówka była! Pamiętam jak dziś, wszak żyłem tu przed laty dwudziestu. Kościół w tem samem miejscu, ten sam, tylko wtedy był mniejszy trochę, odrapany, szary i dach miał mocno podziurawiony. Ale domów tych nie było, drzewka jak wieś długa i szeroka nie było ani jednego, tylko chaty krzywe, nędzne, w ziemię wlazłe, jedne przy drugich się tuliły, a dokoła nich kałuże, gnojówki i błota, że przejść człowiekowi było trudno... Czy czary, czy uroki jakie? Co się tu stało? Co za zmiany dziwne zaszły w tej wsi?“

Poszedł na wzgórek pod kościół. Ztąd widok rozlegał się daleki, w jedną stronę na pola i góry widne za niemi, w drugą stronę na wioski okoliczne, na rzekę, na potok i na błonia szerokie.

Ale gdzie podziały się te pastwiska błotniste, przez świnie zawsze poryte? gdzie bydło chude, co się po tem błoniu plątało? Ani śladu jednego ani drugiego. Niskie brzegi potoku podwyższył w kilku miejscach ochronny wał. Błonie całe dawne, dziś poprzerzynane błyszczącemi od wody rowami, zamieniło się na łąki prześliczne, po wzgórkach zaś na ogrody warzywne. Nad samym potokiem, w najniższem miejscu wyrósł niski gaik jakiś, którego przedtem nie było: to wiklina, na 30 morgach, w rzędy posadzona, na koszykarskie wyroby.

Bydło nie chodzi już po tem błoniu oddawna. Latem i zimą trzymają je gospodarze na stajni, tylko do wody i dla użycia ruchu wypędzają je na godzinę codzień na umyślnie na ten cel zostawiony i ogrodzony wygon. Dla krów sadzą w polu buraki, marchew pastewną, kukurudzę amerykańską i sieją koniczynę i trawy.

Paszę zieloną, koszoną zadają bydłu za drabinę latem, a buraki siekane z sieczką i plewami zimową porą do żłobów. To też krówki piękne i tłuste, każda choćby dziś zdatna na rzeź. Ale rzeźnikowi nie sprzedałby ich gospodarz żaden, bo pożytek dają mu wielki. Dzieci mają mleka ile chcą, a za masło same każdy gospodarz bierze dziś po kilka reńskich co tydzień. Od dobrze żywionego bydła gnój dwa razy tłuściejszy, a że nie gubi go bydlę po pastwisku, więc gnoju tego trzy razy więcej jest teraz, niż go dawniej bywało. Jak go w pole wożą i zaraz rozrzucają i zaraz przyorują, to aż pachnie na okolicę całą.

A jak się to rodzi teraz w Dąbrówce na tych gnojach! Ugory zarzucili ludzie całkiem, bo niepotrzebne już teraz, a i po cóż ma ziemia co trzeci rok próżnować, kiedy co roku podatki z niej płacić potrzeba. Spróbowawszy przekonali się gospodarze wszyscy, że ziemia odpoczywać nie potrzebuje, byle tylko dobrze ją

Żydy zaszwargotały między sobą, jeden z nich wyjął garść tytoniu i podając go wiarusowi, zapytał:

— Co Wason takie głupstwa gada, że ta paskudna choroba to jego stara znajoma.

— Ba! co nie mam gadać — kiedy ja już ją znam jeszcze z wojny tureckiej; dwa razy do mnie się zbliżała, ale dwa razy ją tak odpędziłem na bory i lasy, że jakby tylko teraz zobaczyła starego Adamczyka, to nogi połamie uciekając. — To mówiąc, wąs tak do góry nasrożył i potrząsł grubą pałką, że żydówki i bachury ze strachem w tył się cofnęły.

— Ny! co ona jest — zkąd ona jest — Wasan ją widział?

— Ba! czym widział? — byłem z nią tak blisko, jak z wami.

— A duża ona? jaki ona ubiór ma?

— Cholera, trzeba wam wiedzieć, że jest to strasznie duża baba, ale cała jakby ze mgły albo ze śniegu ulepiona; kiedy idzie przez najwyższe lasy, to chojaki i dęby tylko jej po pas sięgają; kiedy się zbliża do najgłębszej rzeki, nie zatrzymuje się, wchodzi w głębie i nigdy jej więcej jak po pas wody niema — cała jej gęba modra jest, jakby nieprzymierzając wątroba.— W ręku trzyma jakieś chuścisko czerwone — a jeżeli tylko na które miasto niem powieje — śmierć na jej usługi wymiata wszystko do czysta, jak to i z wami teraz robi i dopóty nie odejdzie, aż nie porobi porządków.

Żydzi znowu między sobą zaszwargotali, jeszcze jeden kieliszek z wódką podsunęli Adamczykowi i nareszcie Lejbuś wysuwając się naprzód, rzekł:

— Nu! my panu Jadamczykowi powiemy co dobrego, kiedy wason tę paskudną chorobę zna i jej się nie boi, to może dużo pieniędzy zarobić, my damy trzy ruble — a co? zły interes? — co?

— A za cóż to chcecie mi dać 3 ruble, żebym wam ją przyprowadził, chcecie ją obejrzyć?

Żydy odskoczyli w tył na parę kroków, każdy z nich splunął, a Lejbuś kończył:

— My chcemy zrobić tak, żeby pan Jadamczyk zarobił 3 ruble za nic — żeby tylko poszedł na nasz kirkut i tam stał z tym duży kij, a kiedy my tam przyniesiemy umarłego, zapytał się głośno:

— Kto idzie i czego potrzebuje?

My odpowiemy: ten a ten idzie — a pan Jadamczyk niech odpowie:

— Tu już niema miejsca wolnego — to ona się zabierze i pójdzie na bory i lasy.

— Ale ba! głupia ona iść na bory i lasy; to się

obrobić i nawozem oddać jej to, co się ziarnem i słomą z niej wzięło. Więc w miejscu ugorów dziś koniczyny czerwono kwitnące, wyka dla krów na zielono, trawy wyższe aniżeli na łąkach, grochy kwitnące tak rzęsiście, że cały łanek jak śnieg bieleje między zielonemi zbożami. A te zboża jak ława, gęste, bujne, o liściu ciemnym z wiosny, a kłosiste latem, że aż się dusza raduje!

Podróżny nasz oczom własnym nie wierzył, takie odmiany dziwne widział. Szukał karczmy, żeby się czego od ludzi dowiedzieć. Aliści patrzy—w miejscu, gdzie karczma obdarta dawniej była, stoi budynek niby ten sam, ale świątecznie jakoś odświeżony i czysty.

W miejscu, gdzie dawniej krzywo szyld jakiś wisiał, z nagwazdanem malowidłem i podpisem: *Wisink pod goralem, na kobzie gralem* — dzisiaj czyta napis wielkiemi literami „GOSPODA CHRZEŚCIJAŃSKA“. Wchodzi do środka — i znowu dziwy: Izba duża jedna i druga czysto wybielona, ławy pod ścianami dokoła. Żyda niema, brudu niema, szynkfasu niema, tylko stół na środku, a na nim pisma i książeczki różne. Żywego ducha teraz w tych izbach nie było. Idzie do izby trzeciej, a tam sklep cały: i wódka i piwo i sól i towary różne, do jedzenia i do ubrania i do gospodarki potrzebne. W czwartej dopiero mieszkanie kobiety, która te towary sprzedaje.

„Co to wszystko znaczy? Co za zmiany tu zaszły? pyta kobiety, która usłyszawszy gościa w sklepie, wyszła ze swego mieszkania. — „Tu niema zmian żadnych“ — odrzekła — „to wszystko już oddawna tak u nas“.

Wtem dzwony i śpiewy pobożne dały się słyszeć na dworze. Wędrowiec przypomniał sobie, że to dziś święto Bożego Ciała, i pożegnawszy szynkarkę podążył do kościoła. *C. d. n.*

ZIEMIE I GRODY POLSKIE.

IV.

Litwa i Wilno.

(Ciąg dalszy).

Wilno samą swoją zewnętrzną postacią robi wrażenie miasta starożytnego. Wąskie bardzo i ciasne uliczki, stare kamienice, od czasu do czasu odkryje się jakieś obszerniejsze miejsce, odsłaniając nam niebieską Wiliję, góry okoliczne, lub też jedną ze świątyń, sięgających dawnych czasów. Jako zabytek przeszłości, zasługuje przedewszystkiem na uwagę stara katedra, Zbudowano ją w tem miejscu, gdzie dawniej był ołtarz pogański, którego resztki można jeszcze oglądać, ukryte pod dzisiejszym wielkim ołtarzem. W katedrze najwspanialszą i najbogatszą jest kaplica św. Kazimierza, patrona Litwy, czarnym marmurem zewnątrz i wewnątrz

---

wpakuje pomiędzy naszych, a wy będziecie dalej oszukiwać ludzi — nie — tego nie zrobię za nic w świecie.

— Ny! co wason chce, ja wasanu co powiem, wasan dostanie 5 rubli, my taki jest, targować się nie będziemy.

— Schowajcie sobie wasze 5 rubli — będę stał i z chorobą się kłócił za 5 rubli! — ba jeszcze czego!— dacie 10 rubli i kwartę wódki to dobrze, a nie — to niech was tam wszystkich wydusi.

— Aj waj! po co ona ma dusić nasze żydki — co wasan takie głupstwa gada, my damy wasanu 5 rubli i kwartę wódki.

Adamczyk na te słowa kiwnął tylko głową, roześmiał się, podniósł z ławy, i wziąwszy swoją nieodstępną laskę, palcem przycisnął tytoń w fajeczce i zabierał się do odejścia.

— Gdzie wason idzie! po co wason idzie!? zawołały żydy.

— Co to haresztujecie mnie, czy co? — dacie 10 rubli to dobrze, a nie — to zostajta z Bogiem.

Żydzi widząc, że z upartym chłopem dłuższe targi do niczego nie doprowadzą — puścili Adamczyka — podali rękę a Lejbuś rzekł:

— Ny! my dla nikogo by tego nie zrobili, bodaj tak byłem zdrów, ale dla pana Jadamczyk — niech tak będzie — niech pan Jadamczyk idzie tam zaraz i czeka.

— A pieniądze?

— Nu, wason dostanie zaraz rubla, a jak tę paskudną chorobę wypędzi, to dostanie resztę.

— Idźta do milion tysięcy djabłów — znam ja was — ja na bórg wam nie będę pracował — nie chcę nic — odchodzę.

Żydzi zaledwie we drzwiach całą siłą zatrzymali go.

— Niech tak będzie! niech tak będzie — damy — czemu nie mamy dać.

Adamczyk usiadł napowrot na ławie, żydzi zaczęli rachować pieniądze samemi trojakami i dziesiątkami.

— Nu! bierz wason, a dobrze ją odpędź i nie zapomnij powiedzieć, że tu u żydków niema miejsca.

Adamczyk zaczął liczyć pieniądze, pokazało się, że pół rubla brakuje, a dziesiątek wyszłych z obiegu jest większa połowa.

— Schowajcie sobie takie pieniądze.

— Jakie pieniądze — to są dobre — bodajem tak był zdrów.

— Ja takich nie wezmę.

wyłożona. Dziś bardzo ją zeszpecono, gdyż została otynkowana, wskutek czego marmuru na zewnątrz zupełnie nie widać. Św. Kazimierz był synem króla Kaźmierza IV, wnukiem Jagiełły, bratem Zygmunta Starego, lecz wyrzekł się godności, bogactw i zaszczytów, młode swe lata spędził na modlitwie, umartwieniach i dobrych uczynkach. Umarł w kwiecie wieku. Pochowano go w srebrnej trumnie, która znajduje się w ołtarzu kaplicy. Ściany jej ozdobione są posągami wszystkich Jagiellonów. W innej kaplicy widzimy obraz P. Jezusa mający tę właściwość, że z której strony stoimy, zawsze nam się zdaje, że oczy Chrystusa są na nas zwrócone. Katedra posiada wiele ładnych obrazów pędzla Smuglewicza i Czechowicza i w naczyniach kościelnych wiele pięknych zabytków swojej dawnej świetności. Opodal katedry stoi dzwonnica, której grube mury świadczą o jej podeszłych latach. Wieść niesie, że dolna jej część była pogańskim ołtarzem Znicza, na którym płonął wieczny ogień, utrzymywany przez osobne kapłanki, dziewice litewskie, bogom poświęcone.

Przed katedrą rozciąga się plac szeroki, na którym rok rocznie odbywają się jarmarki. W czasie tych jarmarków przybywają kupcy nawet z Persyi i Grecyi z wyrobami jedwabnemi, inni z futrami. Wilno wtedy rzeczywiście tak, jak przepowiedział Lezdejko, roi się od tłumów różnobarwnych. Lecz te doroczne jarmarki, choć tak ludne i liczne, nie są przecież dla nas tak ciekawe, jak inne, odbywające się w dzień św. Kazimierza i św. Jerzego.

Święto Kazimierskie można nazwać jarmarkami ludowemi, bo wtedy ze wszystkich wsi okolicznych zjeżdżają się wieśniacy do Wilna, setki wozów ciągną jedne za drugiemi, a wszystko na plac przed katedrę. Chłopi sprzedają naczynia drewniane, zabawki dla dzieci, w nowszych czasach także sukna i płótna domowego wyrobu. Jarmarki te są wielkiem świętem dla dzieci wileńskich. Na święty Jerzy odbywa się wielki targ na kwiaty.

Z placu przed katedrą otwiera się ładny widok na górę zamkową, na której szczycie sterczą ruiny dawnego zamczyska, pochodzącego jeszcze z czasów Gedymina. Są to już same tylko gruzy, nawet nie mogą nam dać pojęcia o kształcie tego gmachu; spoglądamy jednak na nie ze czcią i poszanowaniem, jakie budzą u nas zawsze zabytki dawnych naszych dobrych czasów Tam nieraz przebywali Jagiellonowie, tam mieszkał też ów młodziutki Jagiellończyk, Kazimierz, dziś w poczet świętych policzony. Zamek był niegdyś połączony krużgankiem z katedrą, aby królowie łatwiej się mogli dostać w każdej porze do przybytku Pańskiego. Mieszkańcy Wilna pokazują ze czcią kamień przed katedrą, wklęsły trochę, o którym opowiadają, że św. Kazimierz noc w noc na nim klęcząc, modlił się tak długo, że kamień, choć twardy, ugiął się i pozostał świadectwem świątobliwości młodego królewicza.

Wtem z sąsiedniej kamienicy rozległ się lament, jeden z najbogatszych żydów Aronowicz umarł w tej chwili.

To zdecydowało żydów — dziesięcio-rublówka przeszła do jednej kieszeni Adamczyka i kwarta wódki z flaszką do drugiej.

W parę godzin potem Adamczyk stał przy bramie kirkuta, trzymając w zębach fajeczkę, a na ramieniu jak karabin swoją nieodstępną jałowcową laskę.

Wśród lamentu i licznej gromady żydów zbliżał się żałobny kondukt — brama była zamknięta — a w niej na straży stał Adamczyk. Kondukt zatrzymał się przed samą bramą.

— Kto idzie? rozległ się gromki głos szyldwacha.

— Jankiel Aronowicz — odpowiedziały żydy.

— Czego tu chcesz panie kupiec?

— Miejsca, ale może tu już brakuje?

— Ale jest — jest — zmieści się chociażby całe miasto.

Przez chwilę panowało głuche milczenie — żydzi stali jakby skamieniali, lecz raptem jak kiedy w gniazdo szerszeni rzuci kamieniem — zrobił się szmer, hałas, wymyślania i lament — i jednocześnie piasek i kamienie zaczęły się sypać na stróża. Stary żołnierz był jeden — żydów gromada. Kirkut był obmurowany wysokim murem, brama zajęta przez nieprzyjaciół, przebić się koniecznie potrzeba przez tłum — kamienie coraz gęściej padały na Adamczyka. Ten z miejsca się nie ruszył—z powagą obrócił się po za siebie, kiwnął ręką, jakby kogo przyzywał i donośnym zawołał głosem:

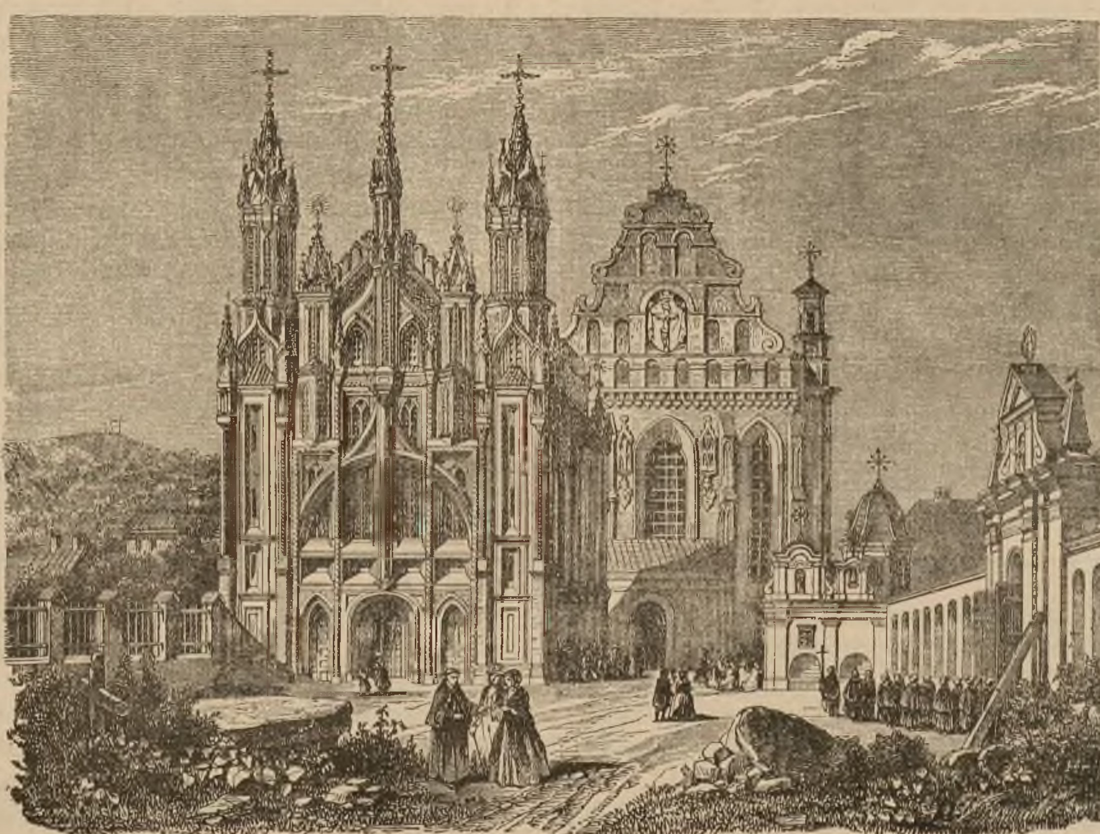
„No! chodź ino tu imość — chodź i wybieraj, który ci się spodoba, ja go przytrzymam“, i to mówiąc, śmiałym krokiem zbliżył się do gromady żydów. Ci, jak stado wróbli rozsypali się naokoło, brama była wolna; Adamczyk wojskowym krokiem wyszedł jakby z fortecy. Kiedy się żydzi opamiętali, był już daleko. Przystanął nawet, pociągnął z flaszki na ochłodę i zawołał:

— To wy chcieliście chorobę na chrześcijan naprowadzić i myśleliście, że stary żołnierz do tego wam dopomoże, macie teraz naukę — chcieliście mnie wziąć na kawał, ja wam się za to odwdzięczyłem.

Przeczuwał jednak Adamczyk, co go czeka za powrotem do miasteczka, a czując pieniądze i tytoń w kieszeni i coś tam jeszcze siwuchy we flaszy, postanowił zejść im z oczów na parę tygodni i udał się do krewniaków pod Kielcami. *(C. d. n.).*

Zamek wileński był także świadkiem jedynych chwil szczęścia naszego króla Zygmunta Augusta. Tam mieszkał on jeszcze za życia ojca Zygmunta Starego, który mu rządów na Litwie ustąpił. Przebywając w Wilnie ożenił się Zygmunt August z wielce przez siebie ukochaną Barbarą Radziwiłłówną, wdową po Gastołdzie. Małżeństwo to zostało zawarte bez wiedzy króla ojca i panów polskich, to też gdy po śmierci Zygmunta Starego, Zygmunt August został królem, szlachta zażądała od niego, aby porzucił małżonkę, gdyż nie wypada, aby monarcha żenił się ze swoją poddaną; dla niego przeznaczoną jest córka królewskiego rodu. Lecz najgorętsze nalegania szlachty zostały odparte energią i stałością króla. Zygmunt August oświadczył, że woli stracić koronę, niż Barbarę oddalić od siebie. Jakże chcecie — mówił — żebym narodowi wiary dochował, jeżeli złamię przysięgę żonie na ślubie uczynioną? — Zygmunt August oparł się żądaniom szlachty i wytrwałością swoją tyle zdziałał, że Barbara została koronowaną na królowę. Niestety w kilka miesięcy po koronacyi, umarła zacna ta pani, pozostawiając Zygmunta Augusta w ciężkim żalu i smutku. Odtąd żył on tylko dla dobra narodu. — Zwłoki Barbary odprowadzono z wielką wspaniałością do Wilna, gdzie w grobach pod kościołem katedralnym pochowane zostały.

Oprócz góry zamkowej jeszcze Trzykrzyska i Bekieszowa wznoszą się nad Wilnem. Nad pierwszą stały trzy krzyże, podobno pamiątka kilku księży Franciszkanów, męczenników, wymordowanych przez Litwinów, gdy ci jeszcze byli poganami. Dziś te krzyże nie istnieją, zrzucone zostały przez Moskali, lecz góra zachowała dawną swą nazwę. Góra Bekieszowa miała grobowiec węgra Bekiesza, ulubieńca Stefana Batorego; Bekiesz był kalwińskiego wyznania, i dla tego nie na cmentarzu, ale na tej górze był pochowany. Dziś z grobowca ledwie szczątki pozostały, góra zaś jest miejscem przechadzek całego miasta, u stóp jej rozlega się tak zwany ogród botaniczny.



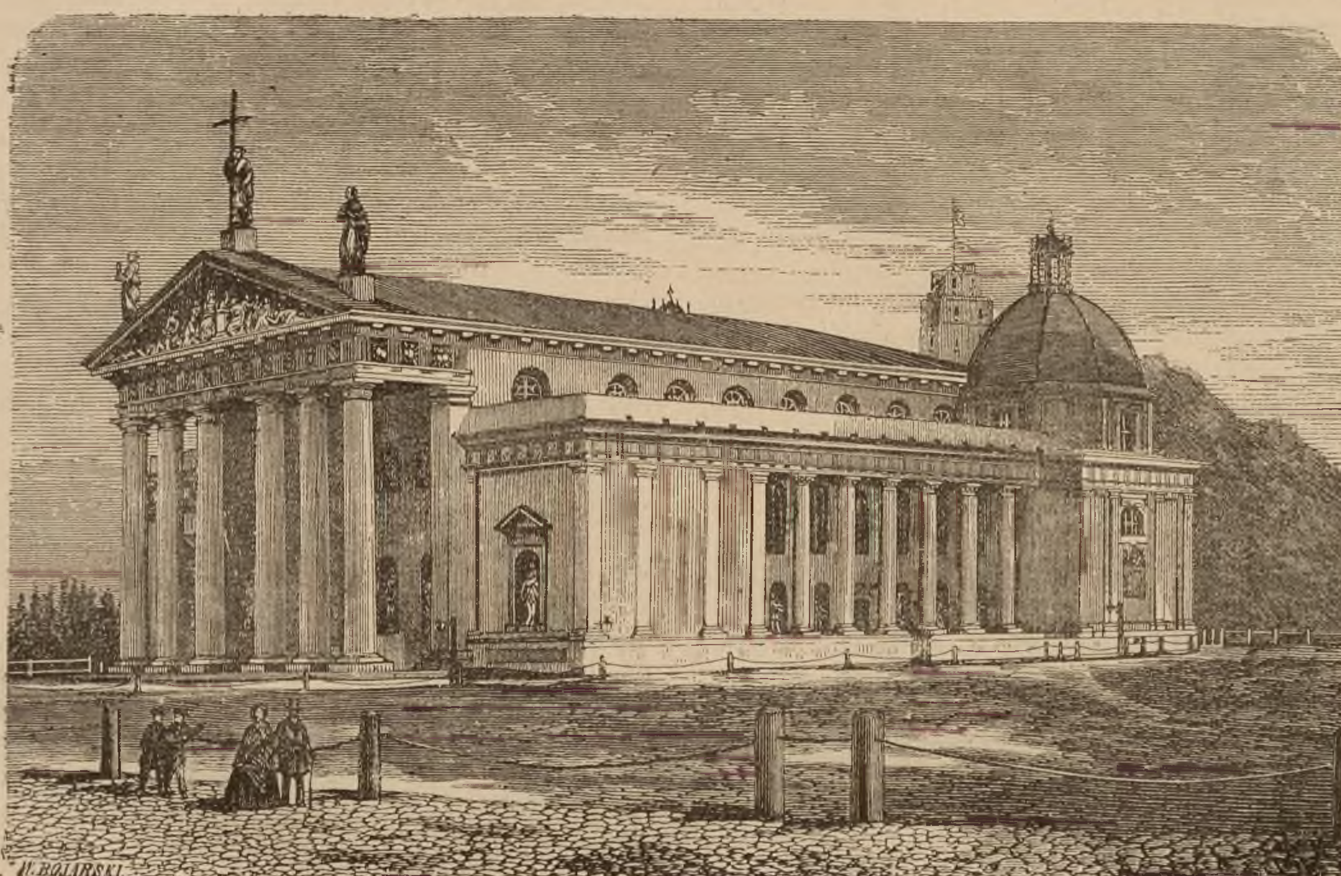
Kościół św. Anny w Wilnie.

Wilno można nazwać małym Krakowem; pełno tam starożytności i pełno kościołów. I tak naprzykład kościół św. Piotra, który ma ładne malowidła, a ściany jego i sklepienia ozdabia misterna rzeźba biała na tle niebieskiem. Opowiadają ludzie, że dwóch wielkich panów założyło się, kto ładniejszy kościół wybuduje. Jeden zbudował kościół św. Piotra, a drugi św. Anny, i żaden nie przegrał, bo jeden wewnątrz, a drugi zewnątrz stworzył arcydzieło. [1]) Kościół św. Piotra jest

[1]) Całe to podanie nie prawdziwe, bo kościół św. Anny jest dużo starszy niż kościół św. Piotra.

wewnątrz ślicznie wykończony, a św. Anny stanowi malutką, lekką budowę, która tak zachwyciła cesarza francuskiego Napoleona I, kiedy w wyprawie na Moskwę przechodził z wojskiem przez Wilno, że powiedział: gdybym mógł, na rękach przeniósłbym ten kościółek do Paryża.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Kościół katedralny w Wilnie.

Wiadomości polityczne.

Z Koła polskiego.

Koło polskie w ostatnim tygodniu najwięcej było zajęte świeżem zajściem nad Morskiem Okiem w Tatrach. Pisaliśmy już w jednym z numerów *Krakusa*, że toczy się spór pomiędzy hr. Zamojskim, właścicielem Zakopanego, a księciem Hohenlohem, właścicielem dóbr po stronie węgierskiej, o spory kawał gruntu nad prześlicznem jeziorem tatrzańskiem, nazywającem się Morskie Oko. Grunt ten, według dawnych przywilejów królów polskich, należał do Polski, lecz na mapie wojskowej austryackiej przez omyłkę źle narysowano granicę i książę Hohenlohe opierając się na tem mówi, że to grunt jego, a więc węgierski. Galicyi nie idzie kto jest właścicielem owego gruntu, ale o to, aby objęcie jego przez Hohenlohego nie urwało kawałka ziemi polskiej należącego do Galicyi.

Pisaliśmy także, iż władze węgierskie popierają Hohenlohego i że ten ufny w ich pomoc, choć grunt jest sporny, kazał robić na nim drogę i stawiać budynki. Dowiedziawszy się o tem sąd w Nowym Targu, wysłał na miejsce sporne komisyę sądową, złożoną z sędziów pp. Lenińskiego i Skoruty. Gdy komisya zajęta była sprawdzaniem linii granicznej, leśniczy Hohenlohego wraz ze strzelcami zastąpił jej drogę i zagroził, że, jeżeli dalej się posunie, to każe strzelcom użyć broni. Chociaż sędziowie przybrani byli w mundury urzędowe i tłómaczyli, że przeszkadzanie im w czynnościach jest przestępstwem i zbrodnią, nic to nie pomogło, tem więcej, iż przybyli żandarmi węgierscy stanęli po stronie leśniczego i oświadczyli ze swej strony, że strzelać będą do komisyi, jeżeli naprzód o krok się posunie. Komisya się więc cofnęła, nie przeprowadziwszy swego za-

dania. Według ustaw austryackich taka przeszkoda, postawiona sądowi, jest zbrodnią, za którą czeka ciężka kara.

O całem zajściu doniesiono Kołu polskiemu, które postanowiło z całą stanowczością upominać się o zadośćuczynienie za uczynioną zniewagę sądowi i lekceważenie przez Węgrów i Hohenlohego praw kraju i całego państwa. Prezes Koła był u ministrów, przedstawiając im, że tu nie idzie o spór prywatny, którego załatwienie powinno iść drogą sądową, lecz o nienaruszalność granic kraju, o powagę i prawa władz krajowych austryackich, wstrzymanych przemocą w swych czynnościach urzędowych na gruncie galicyjskim, przez oficyalistów prywatnych i przez żandarmów węgierskich. Posłowie polscy — mówił prezes Koła panom ministrom — nie chcą, aby ich spotkał zarzut, że nie uczynili wszelkich kroków będących w ich mocy, aby ostrzedz rząd i zapobiedz możliwym krwawym zajściom w miejscu naruszenia granicy kraju, których obawiać się lada dzień można.

W tym duchu wniósł prezes Koła interpelacyę w Izbie poselskiej. Prezes ministrów hr. Taaffe oświadczył w odpowiedzi, iż oba rządy, austryacki i węgierski, zbierają materyały dowodowe celem wyjaśnienia sprawy. Z powodu znanego gwałtownego zajścia na gruncie spornym poczyni rząd stanowcze kroki, ale musi wprzód czekać na urzędowe sprawozdanie, którego dotychczas nie odebrał.

Oprócz tej głównej sprawy Koło zajmowało się sprawą zaprowadzenia w sądach w sprawach cywilnych postępowania jawnego i ustnego, to jest, aby nie było tyle kosztownej pisaniny i sprawy były prędzej rozstrzygane — o czem *Krakus* już szerzej pisał. Prezes Koła pytał się pana ministra sprawiedliwości, kiedy ta sprawa będzie rozpatrywaną, na co mu minister odpowiedział, że już w jesieni przyjdzie pod obrady Izby poselskiej część poprawnej procedury, ale reszta dopiero później może być przygotowaną i do uchwały Izbie podaną, gdyż zmiana całego postępowania w procesie cywilnym wymagałaby wielkich wydatków ze strony rządu. Koło polskie nie było zadowolone odpowiedzią ministra, bo na wydatki nie można zważać tam, gdzie idzie o dobro całej ludności, cierpiącej dziś wskutek przestarzałych form sądowniczych. Dlatego też Koło uchwaliło wniosek następujący: wzywa się c. k. rząd, ażeby najrychlej przedłożył Radzie państwa projekt ustawy, którąby w całym zakresie procesu cywilno-sądowego zaprowadziła postępowanie ustne i jawne.

Austrya. W Izbie poselskiej w Wiedniu uchwalono podwyższyć fundusz dla ulepszenia (melioracyi) rolnictwa z pół miliona na 750 tysięcy, nad czem już poprzednio, jak *Krakus* donosił, obradowało Koło polskie.

Na posiedzeniu Rady państwa w dniu 14 lipca poseł polski Czecz, przemawiał za takim sposobem podniesienia rolnictwa, ażeby dopomódz włościanom galicyjskim, poczem wyraził liczne życzenia, których uwzględnienie dla Galicyi jest koniecznem.

Petycye powiatów żółkiewskiego, sokalskiego i turczańskiego o pożyczki i lepsze zbieranie podatków przez osobnego urzędnika do gmin jeżdżącego, uznała Rada państwa za nagłe i odesłała je rządowi do uwzględnienia.

Przy rozprawach nad budżetem ministra sprawiedliwości, posłowie nasi Abrahamowicz i Piniński przemawiali za powiększeniem liczby urzędników i za reformą w ustawie karnej i w prowadzeniu procesów cywilnych, o czem już *Krakus* wyżej dziś pisze. Deputowany niemiecki Schneider żądał, aby ludność chrześcijańską sądzili tylko sędziowie chrześcijańscy.

Minister Schoenborn co do reformy ustaw i postępowania sądowego odpowiedział toż samo co poprzednio Kołu polskiemu, o czem czytelnicy już wyżej czytali.

Rosya. Rosyjski minister wojny jenerał Wanowskij objeżdża pogranicze rosyjskie od strony Niemiec i Austryi, aby odbywać przeglądy wojskowe i zwiedzić wszystkie twierdze. Obecnie przybył do Warszawy i zamieszkał w zamku królewskim, zkąd wyjeżdżał do Zegrza nad granicę pruską, gdzie się buduje nowa wielka forteca.

Car obchodzić będzie w sierpniu swoje srebrne wesele. Na uroczystość tę zaprosił księcia Czarnogórskiego.

Anglia. W ostatnich dniach lipca mają się spotkać w Londynie minister włoski Rudini i kanclerz niemiecki Caprivi dla narad z prezesem ministrów angielskich Salisburym. Dowodzi to, o czem już *Krakus* parę razy pisał, że Anglia chce przystąpić do przymierza Włoch, Niemiec i Austryi. Gazety piszą, iż podczas pobytu cesarza niemieckiego w Anglii, spisano pod tym względem rodzaj umowy.

Królowa Wiktorya wydała dla cesarza niemieckiego, wnuka swojego, wielki bankiet na zamku zwanym Windsor. Stół zastawiono dla 140 osób naczyniami złotemi, których wartość ceni się na 12 milionów złr.

Serbia. Wiadomość o wyjeździe młodziutkiego króla Aleksandra do Rosyi zrobiła złe wrażenie w Austryi, gdyż wiadomą jest rzeczą, jak rząd rosyjski stara się przyciągnąć Serbią zupełnie na swoją stronę. Widocznie rząd serbski zrozumiał, że nie bardzo dobrze sobie postąpił, pozwalając swemu królowi jechać do Rosyi, gdyż odniósł się z zapytaniem do cesarza austryackiego, czyby nie zechciał przyjąć odwiedzin młodego króla. Ponieważ cesarz się zgodził, przeto król serbski powracać będzie z Petersburga przez Warszawę i Wiedeń do Ischl, gdzie Najjaśniejszy Pan będzie przebywał.

Bułgarya. Śledztwo przeciw zabójcom ministra Belczewa zostało już ukończone. O morderstwo obwinionymi są: Karawełow, Orszakow i Mullkow. Oprócz nich, jeszcze piętnastu innych zasiądzie na ławie oskarżonych.

Rumunia. Podobno następca tronu rumuńskiego napisał do króla, że koniecznie chce się żenić z panną Vakaresku, o czem pisaliśmy w zeszłym *Krakusie.* Jeżeli to rzeczywiście uczyni, to w takim razie postanowiono następcą tronu ogłosić jego brata księcia Karola Antoniego.

Turcya. Wielkie wrażenie wywołało, iż sułtan dał posłuchanie ministrowi bułgarskiemu Naczewiczowi i jego pomocnikowi Wulczewiczowi. Wiadomo jest, że kiedy były książę bułgarski Aleksander Battenberg zrzekł się tronu, a Bułgarzy wbrew woli Rosyi obrali księciem panującego im dzisiaj Ferdynanda Koburga, żadne z mocarstw nie potwierdziło tego wyboru, ażeby nie drażnić Moskali. To też urzędownie sułtan nie uznawał księcia Ferdynanda i chociaż posłowie bułgarscy znosili się w sprawach Bułgaryi z rządem tureckim, to jednak sułtan tak się zachowywał, jakby ich za posłów nie uważał. Pierwszy raz przyjął ich obecnie urzędowo, a więc tem samem uznał księcia Ferdynanda panującym. Dla rządu rosyjskiego bardzo to nieprzyjemna sprawa i postanowił też sułtanowi, a właściwie jego ministrom, poczynić wymówki. Ale jeżeli sułtan udzielił posłuchania, to widocznie był pewny, że mu złość Rosyi nie zaszkodzi. Znający się na polityce mówią, że sułtan nie byłby tego uczynił, gdyby mu państwa europejskie w przymierzu zostające na to nie pozwoliły. Mogą więc moskale, jak to mówią, pokiwać palcem w bucie. Najnowsze wiadomości donoszą, że poselstwo rosyjskie robiło już w tej sprawie przedstawienia rządowi tureckiemu, i że rząd turecki, nie zważając wcale na to, urzędownie uzna księcia Ferdynanda panującym w Bułgaryi.

Na południe od Grecyi leży bardzo duża wyspa Kreta. Należy ona do Turcyi, zamieszkała jest jednak przeważnie przez Greków. Otóż obecnie na tej wyspie grecy z turkami mordują się wzajemnie i doszło do wielkiej rzezi. Rząd angielski dowiedział się, że winni są turcy. Grecy wzywają pomocy Anglii, grożąc, że jeżeli Anglia nie ujmie się za nimi, w takim razie powstaną przeciw rządowi tureckiemu.

Chili. Dawno nie pisaliśmy o tym kraju, w którym ciągle trwa wojna domowa. Prezydent Balmaceda, przeciw któremu głównie walczą powstańcy, coraz mniej ma zwolenników przez złe i niegodziwe postępowanie. Niejakiego Tora, którego podejrzywano o ukrywanie jednego z dowódzców powstania tak bito, że umarł wśród strasznych cierpień. Więźniom każą chodzić po rozpalonem żelazie, wbijają im w ciało szpilki i gwoździe. Pewna staruszka, matka jednego z powstańców zmarła, gdy ją męczono na torturach. Kilku pisarzy dzienników kazał Balmaceda rozstrzelać za to, że źle o nim pisali. W skutek wojny domowej zboże podrożało. Żołnierze nie otrzymujący żołdu, napadają na spokojnych mieszkańców, dobywają się nocą do domów, kradną i rozbijają. Do wojska łapią młodych chłopców jak dzikie zwierzęta. Ztąd też zdaje się, iż powstańcy zwyciężą, bo Balmacedę coraz więcej jego stronnicy opuszczają. Nie bardzo ładnie jak widzimy rządzą się niektóre Rzeczypospolite w Ameryce.

Chiny. O prześladowaniu chrześcian w Wuhu, w Chinach, teraz dopiero nadchodzą pierwsze bliższe wiarogodne wiadomości. Wuhu jest miastem mającem 100 tysięcy ludności chińskiej, między którą znajduje się tylko 40-tu Europejczyków. Oddawna już obawiano się wybuchu rozruchów. Niechęć krajowców skierowała się głównie przeciw misyonarzom francuskim, którzy w osadzie angielskiej zbudowali wspaniałą katedrę i zakład dla sierót. Troskliwość, z jaką księża wychowywali opuszczone dzieci chińskie, wzbudziła podejrzenie wśród mieszkańców, nie mogli oni bowiem pojąć, że misyonarze robią to bezinteresownie, i naraz zaczęła po mieście obiegać pogłoska, iż robią oni z oczu dzieci „lekarstwo“. Agenci towarzystw potajemnych podniecali wzburzenie, jakie ztąd powstało, i ojciec, przełożony misyi, zaczął otrzymywać listy, żądające wydania dzieci, i grożące spaleniem domu misyi w razie oporu. Naczelnik miasta Taotai został o tem zawiadomiony, lecz nie przedsięwziął żadnych środków bezpieczeństwa, i 12go maja zebrało się około 10.000 Chińczyków, którzy podpalili misyę. Księża francuscy zaledwie zdołali ujść z życiem. Niewielka garstka chrześcijan, mieszkających w Wuhu, zebrała się na naradę wojenną i każdy został w broń zaopatrzony. Nie było ani jednego okrętu wojennego w pobliżu, i konsul angielski, Colin Ford, zażądał telegraficznie łodzi kanonierskiej. Położenie z każdą chwilą stawało się groźniejsze. Motłoch podpaliwszy misyę, udał się do mieszkań Europejczyków, ograbił je i spalił. Urzędnicy celni uratowali kobiety i dzieci europejskie na statku, stojącym na rzece, gdzie były bezpieczne. Konsulat angielski został zrabowany, motłoch usiłował zabić konsula angielskiego i jego żonę, lecz na szczęście udało się obojgu przebranym w chińskie suknie opuścić dom potajemnie. Urzędnicy celni przez dwa dni i dwie noce byli pod bronią i dzielnie odpierali napady motłochu. Dopiero gdy tłum zagroził spaleniem całej osady europejskiej, Taotai rozpoczął kroki, celem uśmierzenia wichrzycieli. Rozprószyli się oni jednak dopiero na widok podpływających okrętów wojennych, które zaczęły przygotowania do bombardowania miasta; gwałtowna ulewa położyła ostatecznie koniec zaburzeniom.

Rady gospodarskie.

O nawozach handlowych.

Bardzo mało jest takich gospodarstw, któreby nawozem wyprodukowanym u siebie mogły zwrócić roli w zupełności wszystkie jej części pożywne, wyczerpywane ciągłym zbiorem plonów. Ubytek siły rodzajnej ziemi daje się spostrzedz z każdym prawie rokiem, a nawet świeżo po nawiezieniu jej gnojem stajennym otrzymujemy w zbiorze mniej ziarna, aniżeli dawniej, czyli jak mówimy: „zboże staje się mniej namłotnem“.

Przyczyną tego jest zasilanie roli jedynie tylko nawozem stajennym, który zawiera w sobie wprawdzie wszystkie te części pożywne, jakich rośliny potrzebują, ale nie w tym stosunku, jakiego one wymagają. Jednych części pożywnych jest w tym nawozie za dużo, innych za mało, rośliny zaś rozwijać się mogą dobrze wtedy tylko, gdy wszystkie te części pożywne znajdują się w ziemi w takiej ilości, jakiej one potrzebują. Przy bardzo więc silnem i częstem nawożeniu samym tylko gnojem stajennym, możemy zwiększyć zbiór słomy, ale omłot tego zboża nie podniesie się w równym stopniu. Zresztą w zwykłych gospodarstwach nie mamy tyle nawozu stajennego, by można używać go zbyt obficie.

Brakowi temu możemy wprawdzie zaradzić częściowo starannem pielęgnowaniem nawozu, oraz zbieraniem wszelkich odpadków, szlamów z rowów i stawków, liści, plewionek i chwastów, z których urządzamy tak zwane kupy kompostowe, a które przekładane gnojem i ziemią, i polewane gnojówką, dają po zupełnem przegniciu bardzo dobry nawóz. Ale i przyczynek ten, lubo nader pożyteczny, nie zwróci zwykle roli tego wszystkiego, cośmy z niej wyczerpali. W takim więc razie, jeżeli spostrzeżemy, że ziemia nasza staje się rzeczywiście mniej urodzajną, musimy oprócz nawozu stajennego dodać jej także nawozu używanego obecnie w handlu, o którego użyteczności bardzo już wielu naszych rolników przekonało się osobiście.

Za pomocą tego nawozu handlowego i przy jednoczesnem użyciu gnoju stajennego, oraz przy starannej uprawie gruntu, rolnicy i innych krajów zwiększyli zbiory swoje w trójnasób, a koszta, jakie na to wyłożyli, zwróciły się im z bardzo znaczną nadwyżką. Dzisiaj więc używają oni tych nawozów co roku i prawie pod wszystkie plody rolnicze, bo widzą w tem rzeczywisty pożytek.

Przy nieumiejętnem jednak i niewłaściwem użyciu tych nawozów można ponieść wielkie szkody i stracić bezużytecznie cały włożony w nie nakład. Nie jeden z rolników doznał już w tym względzie przykrego zawodu i całą winę zwalił na nieużyteczność owych nawozów, gdy główną przyczyną była tylko nieświadomość w ich użyciu.

Ażeby umieć wyzyskać całą korzyść, jaką dają te nawozy, potrzeba przedewszystkiem wiedzieć: czem żywią się rośliny, jakiego pożywienia brakuje najczęściej ziemi naszej, z czego składają się owe nawozy handlowe, oraz jakich nawozów, na jakie ziemie, pod jakie rośliny, w jakiej ilości i w jaki sposób używać należy. Widzimy zatem, iż trzeba nam dużo rzeczy wiedzieć, zanim będziemy mogli używać tych nawozów z pożytkiem, więc należy rozpatrzyć się w tem stopniowo i starać się zrozumieć przynajmniej główne rzeczy, a następnie trzymać się przepisów, które podamy, i wreszcie robić małe próby na swoim gruncie.

Główne pożywienie roślin stanowią: *azot, kwas fosforowy, potaż i wapno.*

Innych części potrzebują rośliny po odrobinie i znajdują je prawie zawsze w ziemi w dostatecznej ilości.

Azot jest to owa lotna część nawozu stajennego, którą zwykle odróżniamy po silnym i przykrym wyziewie, i która gryzie nas w oczy, gdy wejdziemy do stajni zamkniętej. Stanowi on najważniejszą część pożywną w dobrze utrzymanym nawozie stajennym, a w handlu sprzedawanym bywa głównie jako saletra chilijska, która jest podobna do soli kuchennej. Nawóz ten jest droższy od innych, dlatego powinniśmy dawać go roli o ile być może w gnoju stajennym, bo w tej postaci najmniej nas kosztuje i może być dostarczany w ilości odpowiedniej potrzebie. Oprócz tego znajduje się ów *azot* zawsze w powietrzu, a najnowsze badania przekonały dokładnie, iż niektóre rośliny szerokolistne, jak: łubin, koniczyna, lucerna, serdełla, groch i tem podobne, ściągają go liśćmi swemi z powietrza do ziemi i bez wszelkiego kosztu wzbogacają rolę w to pożywienie. Dlatego pożądaną jest jak najczętsza uprawa tych roślin, gdyż po nich zboża kłosowe rodzą się lepiej, szczególnie gdy dodamy im innych brakujących jeszcze w ziemi części pożywnych.

Kwas fosforowy nie jest materyą lotną, lecz stałą i trzyma się ziemi o tyle silnie, iż niema obawy, ażeby został z niej wypłukany przez deszcz. Stanowi on bardzo ważną część pożywienia roślin i przyczynia się do wytworzenia pięknego ziarna. Pożyteczność jego zawisłą jest jednak od tego, czy jest łatwo, czy trudno rozpuszczalny w wodzie, gdyż tylko w pierwszym wypadku korzonki roślin mogą korzystać z niego. Jeżeli jest w kształcie trudno rozpuszczalnym, to potrzeba lat kilku, ażeby mógł zmienić się na rozpuszczalny, szczególnie zaś w ziemiach ciężkich i niezasobnych w próchnicę pozostaje on długo bez pożytku. Dodajemy go roli w mączce kostnej, w superfosfacie lub też w mączce żużlowej Thomasa, a cena tych nawozów zależy od większej lub mniejszej ilości zawartego w nich rozpuszczalnego kwasu fosforowego. Najwięcej znajduje się tych części rozpuszczalnych w superfosfacie, prawie

o połowę mniej w mączce żuzlowej, a najmniej w zwykłej mączce z kości, dlatego superfosfat działa najprędzej, a mączka z kości najpowolniej.

Potaz jest także materyą stałą; trzyma się ziemi dosyć silnie, nie tyle jednak jak kwas fosforowy, gdy więc znajduje się w gruncie w większej ilości, to może być częściowo wypłukanym. Dodajemy go ziemi w postaci kainitu, którego dostarcza obecnie jedna kopalnia w Niemczech w Stasfurcie. Podobny on jest do soli, wydobywa się w bryłach, które muszą być zmielone, by w kształcie proszku mogły być rozsiane na polu. Obecnie wydobywają go także w kraju naszym w Kałuszu i dlatego nazywa się solą kałuską, lecz dotychczas nie jest tam jeszcze mielony, a czynność ta byłaby w domu bardzo uciążliwą, więc korzystać z niego nie możemy. Oprócz tego ceny tej soli kałuskiej są dosyć wysokie, a co najważniejsza, zarząd kopalni nie ręczy za to, ile znajduje się w niej części potazu użytecznych dla roślin. Towarzystwa rolnicze wniosły już podania do rządu, prosząc, ażeby sól ta była w Kałuszu mieloną, dostarczaną do dworca kolei, poręczaną co do zawartości potazu i sprzedawaną po takich przynajmniej cenach, jakich żądają za nią w Niemczech.

Wapno znane jest dokładnie każdemu rolnikowi, a wapnienie roli używane jest już oddawna. Są grunta, które zawierają w sobie dostateczną ilość wapna i rośliny mogą czerpać je podług potrzeby; inne ziemie nie mają go wcale i tym dodawać je należy, czy to w postaci kamieni świeżo wypalonych i niegaszonych, czyteż w kształcie miału przeważnie już zwietrzałego. Pierwszego daje się znacznie mniej, drugiego o tyle więcej, o ile bardziej jest zwietrzały.

(C. d. n.)

A. Lippoman.

NOWINY.

— W Krakowie sąd skazał na rok ciężkiego więzienia żyda Reipszeida, który powróciwszy z Ameryki do Wiśnicza, uprowadził podstępnie młodą żydówkę Esterę Sternlichtównę, tak że pomimo wszelkich starań do tej chwili nigdzie jej znaleść nie można. Wiadomą jest rzeczą, iż żydzi prowadzą handel młodemi dziewczynami, wywożą je do obcych krajów i sprzedają złym ludziom. Taki też los pewnie spotkał i Esterę. Pan prokurator mówił w sądzie, że kiedy dzisiaj cały świat prawie stara się znieść handel murzynami w Afryce, to tem więcej należy zapobiegać takiemu handlowi ludzi w Europie. Oprócz Repszeida skazano także jego żonę i niejakiego Friedmana, którzy mu do uprowadzenia Estery pomagali.

— W Zassowie ks. Józef. Krośnieński utworzył kółko rolnicze, do którego się zapisało 25 członków. Założonym tam będzie sklep katolicki.

— Z Krakowa wyjedzie dnia 21 września pielgrzymka polskiej katolickiej młodzieży do Rzymu, a to z powodu trzechsetnej rocznicy śmierci św. Alojzego, patrona młodzieży, ażeby się pomodlić u jego grobu wraz z młodzieżą całego świata katolickiego, która w dniu 29 września będzie miała posłuchanie u Ojca świętego.

— W Krakowie zjechali się wczoraj, to jest 17go, lekarze polscy, aby naradzać się nad sprawami zdrowia i zapoznać się wzajemnie z rozmaitemi nowemi środkami leczenia. Lekarze ci zbiorą się dzisiaj aby uczcić wspólnie krakowskiego Dr. Jordana, który wiele pracuje nad zdrowiem młodzieży krakowskiej i urządza dla niej bezpłatne rozmaite ćwiczenia gimnastyczne, wyrabiające siły ciała i wpływające korzystnie na zdrowie.

Rozmaitości.

Na ziemi ojczystej. Dnia 27 czerwca parowy okręt „Kolonia“ przywiózł do Bremy 139 wychodźców wracających z Brazylii. Są to ci sami, których ks. Chełmicki i p. Glinka wyprawili z Ryjo-Żanejro w dniu 22go maja, a nadto ośm wdów, które rząd brazylijski odesłał własnym kosztem. Nie wszystkim jednak, którzy z takiem utęsknieniem dążyli do kraju, sądzono było ujrzeć ziemię rodzinną. Cztery osoby trzeba było zostawić po drodze w szpitalu w Bahja, mieście brazylijskiem położonem na północ od Ryjo-Żanejro. Potem zmarł na okręcie włościanin Grajek i pono jeszcze cztery kobiety. Natomiast jedno dziecko się urodziło. W Bremie rozdzielono wychodźców na dwie gromady i odesłano większą do Aleksandrowa w gubernii warszawskiej, mniejszą zaś do Mławy w gubernii płockiej. Pierwsza gromada przybyła do kraju dnia 28 czerwca, a druga dnia 29go. Wychodźcy są wynędzniali i zgnębieni tem wszystkiem, co przeżyli na tułactwie. Ci, którzy mają wszystkie dowody w porządku, mogą zaraz wracać w swoje strony. W Bremie była już nowa gromada wychodźców oczekujących na okręty, które miały niby ich zawieźć do Brazylii. Siedmiu z nich jednak, zobaczywszy powracających, straciło ochotę i zabrało się czemprędzej z powrotem do kraju.

W Paryżu do szpitala przyjęto niejaką Oportunę Synjol, staruszkę 72-letnią, mającą wrzód w żołądku. Pomieszczono ją w oddziale kobiecym. Wkrótce się przekonano, iż owa kobieta była w rzeczywistości mężczyzną, który przyznał się, iż od lat 60 udaje ciągle kobietę i nieraz już służył za gospodynię, służącą itd.

Wieczny żyd Ahasverus. W mieście Meissen, w Saksonii, pojawił się żyd, którego możnaby wiecznym żydem nazwać. Strój jego podobny jest do stroju naszych polskich żydów, siwe włosy spadają mu na plecy, a siwa broda spływa nieledwie do pasa. Twarz wyrazista o wydatnym orlim nosie, pełna jest zadumy bolesnej i wielkiej powagi. Żyd ów wstąpił do sklepu z artykułami spożywczemi, aby kupić prowiantów na drogę i opowiadał tam, iż ma lat 98 a od 64 lat wędruje bez spoczynku. Europę zwiedził całą, a był w najpiękniejszych okolicach Ameryki. Czuje, iż gdyby osiadł się dłużej na jednem miejscu, umarłby zaraz. Zdrowie ma żelazne i może jeszcze dziś ujść kilkanaście godzin dziennie. Obecnie udaje się do Danii. Może tam — mówił tajemniczo — zostanę już, a może znów będę musiał przewędrować całą Europę. Obcy jestem wszędzie.

Dla zrozumienia dodajemy, iż Ahasverus, jak legenda podaje, w chwili gdy Chrystus Pan idąc z krzyżem na górę Golgotę chciał przy domie jego odpocząć, odpędził Chrystusa Pana, który do niego rzekł: „Ja spocznę, ale ty tułać się będziesz aż ja znowu powrócę“. Od tego czasu tuła się wieczny żyd po całym świecie. Co sto lat odmładnia się, a gdziekolwiek przybędzie, tam następuje zaraza, wojna, drożyzna i ciężkie czasy.

Legenda ta sprawdza się w zupełności; nie odnosi się ona jednak do jednego żyda owego Ahasverusa, ale do całego plemienia żydowskiego. Wszyscy bowiem widzimy żywemi oczyma, że tam gdzie żydzi przybłądzą i rozgospodarzą się, wnet całe gromady i społeczeństwa upadają materyalnie i nędza zastępuje dawniejszy dobrobyt. My Polacy tych Ahasverusów mamy pełno po naszych siołach i miastach; a dobrze im się wiedzie, bogacą się krwią i potem naszego ludu.

Ludność świata. Gdyby całą powierzchnię kuli ziemskiej pociąć na równe kwadraty po kilometrze długie i szerokie, byłoby takich kwadratów 509,000,000 (pięćset dziewięć milionów) z górą. To znaczy, że kula ziemska ma tyle kilometrów kwadratowych obszaru. Kilometr kwadratowy obejmuje przeszło 170 morgów.

Większa część jednak tego obszaru pokrywa woda głęboka, morze, tak, że lądów, czyli ziemi suchej wraz z rzekami i jeziorami, jest tylko 135,738,772 kilometrów kwadratowych. Na wszystkich tych lądach mieszka teraz 1,515,839,000 ludzi (1 miliard, 515 milionów, 839 tysięcy). Na każdy więc kwadrat kilometrowy lądu przypada po 11 osób.

Ludzie jednak nie rozmieścili się tak równo po świecie. Są ogromne pustynie śniegiem pokryte wiecznie, są również wielkie pustynie od spiekoty słonecznej spalone. na których góry suchego piasku wiatr gorący z miejsca na miejsce przesypuje. Na takich pustyniach ludzie nie mieszkają wcale. Prócz tego są kraje zimne, gdzie zima ostra większą część roku zajmuje; są w różnych stronach świata kraje bagniste, są wreszcie kraje bardzo wysokiemi, a opoczystemi górami gęsto najeżone, — wszędzie tam mało ludu wyżywić się może, więc też i mieszka mało.

Wszystka ludność ziemi, czyli ludzkość, dzieli się nu różne narody. Każdy naród ma swoją mowę, swoją wiarę, zajmuje własny kawał ziemi, czyli swój kraj, i różni się od innych obyczajami w życiu, jadle i w przyodziewku; ztąd przysłowie: „Co kraj to obyczaj.“ Narody różnią się też między sobą i oświatą i pracowitością. Jeden naród jest więcej oświecony, rozumniejszy, i lepiej pracuje; drugi jest ciemny, leniwy, i pracuje licho. Dlatego ziemia jednemu narodowi daje więcej chleba, więcej wyżywić może, drugi naród na takiej samej ziemi, przez swą niezaradność ledwo nędznie wyżyć jest w stanie. Więc i to też przyczyna, że jeden kraj jest lepiej zaludniony, a drugi gorzej; w jednym kilka mórg żywi ludzi tylu, co w drugim kilkadziesiąt. Wielkie lądy i wyspy różne, występujące na kuli ziemskiej ponad wodę morską, dzielą się na pięć części, zwanych częściami świata. Największa z nich Azya, a najbardziej zaludniona, najlepiej zagospodarowana i najoświeceńsza Europa, w środku której my mieszkamy.

Narodów, na jakie ludność świata dzieli się, jest dużo, może z pięćset albo i więcej. Są między niemi większe i mniejsze: takie, co mają po paręset milionów dusz, i takie, co ledwie po kilka tysięcy głów liczą. Wszystkich narodów wymieniać tutaj nie można, bo to za dużo miejsca by zajęło i zbyt trudne byłoby do spamiętania. Wymienimy więc tylko do jakich ras ludzkich różne narody należą.

Są trzy główne rasy ludzi, które według barwy ciała tak nazywać można: 1) Biała, nazywana kaukaską; 2) Żółta czyli mongolska; 3) Czarna czyli murzyńska. Narody rasy białej mają skórę jasną, lub od słońca i od przeświecającej się krwi pociemniałą; włosy miękkie, jasne lub czarne; źrenice w oczach ciemne, szare lub błękitne; twarz, wargi i nos zwykle kształtne. My i prawie wszystkie narody, w Europie mieszkające, do tej rasy należymy. Do niej również należą niektóre narody na południo-zachodzie Azyi, na północy Afryki, i potomkowie wychodźców europejskich w Ameryce i Australii.

Narody rasy mongolskiej mają skórę żółtą, śniadą, szczęki wydatne, oczy małe, jakby przymrużone i skośne, źrenice w nich ciemne, włosy ciemne i dość twarde, zarost na twarzy mężczyzn skąpy, twarz nieprzyjemną dla nas, wzrost zwykle nieduży. Zaludniają one większą część Azyi i północny skraj Ameryki.

Ludzie rasy murzyńskiej odznaczają się skórą czarną, często tak czarną jak węgiel, źrenicami czarnemi, włosami też czarnemi, twardemi i kędzierzawemi jak wełna, twarzą szeroką, nosem grubym i jakby przypłaszczonym, wargami jakby nabrzmiałemi. Murzyni zaludniają większą część Afryki.

Oprócz tych trzech ras głównych są jeszcze dwie: Malajska w Australii, pochodząca bodaj z pomieszania się trzech poprzednich ras, i Amerykańska najpodobniejsza do naszej białej, ale odróżniająca się najbardziej czerwoną barwą skóry. Z niej pochodziły ludy zamieszkujące od niepamiętnych czasów Amerykę.

Największym narodem na świecie są Chińczycy, naród rasy żółtej czyli mongolskiej. Liczą ich aż trzysta ośmdziesiąt jeden milionów. Mieszkają oni we wschodniej części Azyi. Chociaż własny ich kraj jest bardzo rozległy, blisko taki jak pół naszej Europy, ale Chińczykom w nim ciasno, bo dwa morgi ziemi mniej więcej przypadają na jednego człowieka, a są okolice, gdzie i bez porównania więcej ludzi wyżyć z tego musi.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 14 lipca.

Płacono za pszenicę białą od 10.70 do 11.— złr., za czerwoną od 10.50 do 10.90 złr., za żółtą od 10.40 do 10.80 złr.; za żyto od 8.50 do 9.— złr.; za jęczmień browarny od 7.35 do 8.— złr.; na paszę od 6.75 do 7.25 złr.; za owies od 7.— do 7.40 złr.; Rzepak od 13.25 do 13.50. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.